

Życie jest tak dobre, jak dobrym pozwalasz mu być.
Ch. Bukowski

/ PÓŁ MILIONA MINUT

TEKST I FOTOGRAFIE: MARCIN PINIAK



Rok - osiem tysięcy siedemset sześćdziesiąt godzin. Ponad pół miliona minut w Londynie. Opuszczając Łódź - miasto, którego szare obezładniające industrialne oblicze towarzyszyło mi przez większość życia, czułem się dziwnie. Strach, podniecenie i całe spektrum dziwnych nieznanych uczuć. Decyzja była jak błysk, nagle pewnego ranka poczułem, że bezwzględnie potrzebuję "nowego" i "innego". Gdyż rytm tego, w czym żyłem

zaczynał mnie usypiać, obezładniając swoją przewidywalnością. Irracjonalne przeświadczenie, że "gdzieś tam" czekają ważne chwile do przeżycia, ludzie, których muszę poznać i miejsca warte obecności. Zawodność instynktu samozachowawczego. Dwieście funtów w kieszeni i bilet w jedną stronę.

Magia wyobrażeń

Australia. Taki był plan. Przedostatni przystanek świata - metafizyka spalonych słońcem pustyni, lasów deszczowych i błękit

raf. Raj na ziemi. Eden wyświetlany w internecie i na stronnicach książek podróżniczych. Być tam w słonecznej, pięknej izolacji od tego wszystkiego, przed czym usiłujesz uciec. Gdyż wiesz, że gdzieś w tym wszystkim pod fasadą umownych uzasadnień jest ukryta przemożna chęć ucieczki przed teraźniejszością.

Wynik zakwestionowania otaczającej cię rzeczywistości, która odmawia ci spełnienia. Nie daje szans, oferując jedynie "źle dopasowane role", których odgrywanie przestało cię już bawić. Odwaga - detonator zmiany. Zostawić pozory bezpieczeństwa i zmierzyć się z czymś, czego nie znasz. Zaufać podświadomemu impulsowi.

Pomysł wyjazdu do Wielkiej Brytanii pojawił się w mojej głowie z dwóch powodów. Po pierwsze to jest kraj, który jak żaden inny odpowiada za ukształtowanie australijskiej rzeczywistości, stanowi korzeń jej obecnej cywilizacji. Po drugie pieniądze. Tutaj, tak mi się wydawało, można szybko zarobić pieniądze potrzebne na wyjazd do mojego "Raju".

Etap marzeń i niedokonania zawsze jest najbardziej inspirujący. Wszystko jawi się niczym prosta droga prowadząca bezpośrednio do celu. Jednak to iluzja. A twoja "podróż" przeistacza się w rodzaj "procesu", który wykracza poza to, co sobie na ten temat mogłeś wymyślić. To, co się dzieje po drodze jest dużo ważniejsze od tego, co obiecałeś sobie uzyskać docierając do celu. Ten "odcinek" oddzielający cię od punktu, który chcesz osiągnąć jest życiem. Tym, co się wydarza teraz i tu. Wszystko inne jest wyobrażeniem. Snem wariata. Pamiętam, że właśnie pomyślałem, gdy obserwowałem bezkres przestrzeni za oknem samolotu. Była w tym intensywność - coś, za czym tęskniłem od bardzo dawna. Obietnica czegoś innego. Niczym chmury na horyzoncie napływały wspomnienia przyjaciół na lotnisku, pozbywanie się rzeczy gromadzonych od lat, migawki krótkich wzlotów i bolesnych upadków w dusznej polskiej rzeczywistości.

Miasto, z którego wyjechałem powstało na bagnach i w dość przemożny sposób odczuwałem jego "zasysająca" i grzęzistą naturę. Tam w tym samolocie poczułem się przez chwilę wolny, oderwany od tego, co było, nieskonfrontowany z tym, co miało się wydarzyć. W podobnych okolicznościach zacząłem swoją przygodę z pisaniem. To było w pociągu. W drodze. W pewnego rodzaju zawieszeniu pomiędzy punktami. Cel jest tylko pretekstem do podróży. Sama podróż jest istotą rzeczy. Miejsca to tylko dekoracje.

Twarde lądowanie

Zderzenie z Londynem. Szybki upadek kilku mitów. Wyrazistość życia w jego ekstremalnym wydaniu. Kwintesencja tego, czym jesteśmy i do czego dążymy. Świątynia hedonistów i współczesny Babilon. Dla wielu wciąż niespełniona obietnica raj. Pierwsze wrażenia to obezwładniający zmasowany atak różnorodności. W obrazach, dźwiękach i słowach. Nowy wymiar ludzkiego doświadczenia w zupełnie innej odsłonie. W skali milionów.

Dalej powitanie w rzeczywistości polskiej imigracji. W świecie zawężonym do kilku podstawowych potrzeb. Zdobyc robotę, jakiś dach nad głową i telewizor z polskimi kanałami. Świat izolacji, strachu przed "innym", kombinowania i bezwzględności. Takie było moje pierwsze doświadczenie na tym polu.

Tutaj zrozumiałem, co w praktyce oznacza "imigracja zarobkowa". Jaki jest jej koszt i jakimi prawami się rządzi. Było to tak odległe od moich wcześniejszych doświadczeń na polu relacji międzyludzkich, że w dość szybkim tempie pozbawiło mnie wielu złudzeń.

Jednak przede wszystkim poznałem tutaj również wielu fantastycznych rodaków, którzy próbują coś poznać, czegoś się nauczyć i poszerzyć swoje horyzonty. Nowe doświadczenie jest czymś nie przeliczalnym na funty. Oczywiście w tej szybkości życia, codziennej pogoni nie jest to łatwe. Wymaga poświęcenia czegoś, jak w to w życiu.

Prawie każdy z imigrantów, jakich tu spotkałem miał na koncie "rozsadzające" przeżycie. Utratę pseudo przyjaciół, poczucie wykorzystania, depresję, bezradność, samotność czy w końcu dławiące uczucie bezsilności wobec tego, co się wydarza. Moment, kiedy pozwalasz działać się rzeczywistości i przestajesz z nią walczyć.

Przeżyłem to w Londynie. Bez pieniędzy i z perspektywą życia pod mostem siedziałem nad rzeką. To był czas odpływu. Gwieździsta noc, księżyc odbity w tafli wody. Zupełna pustka. W tym czasie dotarło do mnie to, że cele potrafią odebrać nam sto, co mamy ludzkiego w sobie. Uczynić ślepyimi. Uwydatnić zwierzęcą naturę, gdzie żyć znaczy walczyć. Dążyć ślepo do celu, depcząc wszystkich i wszystko po drodze.

Obojętnie czy dla pieniędzy, władzy czy sławy. W tym czasie byłem niczym Wergiliusz oglądający Piekło - bezwzględny świat pozbawiający złudzeń. Zrobić wszystko by nie stać się jego częścią, iść po prąd, na przekór, tak to widzę. Po odpływie zawsze jest przypływ. Po tragicznych doświadczeniach przychodzi czas tych pozytywnych. Równowaga natury. Pojawiają się dobrzy ludzie i lepsze okoliczności. Jak mawiał mędrzec "złe doświadczenie, to dobre doświadczenie". Coś jest na temacie. Bez złego nie doceniasz dobrego.

Przez ten rok zmieniłem mieszkanie pięć czy sześć razy. I dzięki temu stało się dla mnie jasne, jak wiele trudu i wysiłku należy włożyć, by poznać drugiego człowieka. By zrozumieć jego kondycję, uwarunkowania, w jakich tkwi i umysłowość. Czasem nasze światy są tak odległe, że prawdziwy kontakt jest niemożliwy. Przypomina uderzenia w ścianę. Każdy projektuje swój film. Jak jeden trawi komedię inny dramat nie ma szans komunikacji. Jedynie bełkot. Te mieszkania to miniatury tego miasta. Konglomeratu różności. Czasem w godzinach szczytu przygnieciony tłumem zastanawiam się jakby to było, gdyby nagle pozwolono wszystkim ludziom na

absolutną, wolną ekspresję samych siebie. Bez sądów, nakazów, policji i rządu. Jaka natura by z nas wyszła? Mam przeczucie, że multikulturowe społeczeństwo Londynu jest zapowiedzią kondycji całego świata w przyszłości. Kiedy każdego dnia spotykać będziemy ?inne? na naszej drodze.

Dlatego horyzonty naszych umysłów będą musiały się poszerzyć. To jest kluczowe doświadczenie Londynu. Te wszystkie empiria roku 2007 dobitnie mnie tego uczą. Był to niezwykle ważny czas dla mnie. Zrozumienie, że przed niczym naprawdę istotnym nie zdołam uciec. Miejsce, w którym żyję nie ma tu znaczenia. Lekcje życia trzeba odrobić. Nie da się iść na wagary.

Czasem muszę usiąść nad rzeką, dać sobie chwilę przestrzeni. Woda od zawsze jest na poły moim ulubionym żywiołem i symbolem.

Metaforą zmiany. Wciąż w ruchu. Zaczyna się nowy czas dla nas wszystkich. Z minuty na minutę.

Przed nami kolejne godziny podróży.

Pozostaje mi tylko życzyć wszystkim szczęścia.

PARADYZINE.WORDPRESS.COM